

# Kronika tygodniowa.

Już po napisaniu, a nawet po wydrukowaniu poprzedniej kroniki, w której, jako powód pozostania w Krakowie przez wakacje podałem między innymi wyzysk i paskarstwo, jakie panują w naszych zdrojowiskach i nadrowiskach, znalazłem w pismach codziennych kapitalne dowody, że tak jest, a nie inaczej i że ów korespondent, narzekając na stosunki, jakie panują w Krynicy, miał zupełną rację.

Dowiedzieliśmy się mianowicie, że delegat ministerstwa aprowizacji, zapewne chcąc dać dowód żywotności i potrzeby tego urzędu, który ma być niebawem zniesiony, wybrał się na wycieczkę po Podhalu i zawadził najpierw o Zakopane, gdzie tak mu się spodobało „Morskie Oko“, iż pokazał jego właścicielowi, Dąbkiewiczowi, „perskie oko“ i poprosił go siedzieć, ale nie na kanapie, lecz w celi więziennej.

Blady strach obleciał paskarzy i lichwiarzy żywnościowych w Zakopanem, mówiących sobie zapewne ślusznie „co dziś tobie, mule jutro... i, kto wie, czy ceny nie byłyby spadły, gdyby nie to, że się pokazało, iż strach ma wielkie oczy, pan delegat zaś nie myśli zbyt długo trapić tamtejszych przemysłowców, lecz je dzie dalej na gościnne występy.

I pojechał do Rabki, a w Zakopanem rozjaśniły się oblicza i... podniosły ceny.

Aby przypadkiem kupcy, przemysłowcy, właściciele pensjonatów i t. d., tak w Krynicy, jak i gdziekolwiek indziej, nie obrazili się na mnie, że tak w czam bni odsądzam ich (dla części i wiary i pomawiam o paskarstwo lub lichwę żywnościową, niech mi wolno będzie powiedzieć w swej własnej obronie, że nigdy tak nie myślałem. Wiem, że niema reguły bez wyjątku i stwierdzam z całą stanowczością, że sam znam kilku właścicieli pensjonatów, hoteli, sklepów i t. d. na których nikt nigdy nie narzekał, jeśli zaś czasem podnosiły się skargi, to, jak się później okazało, nienasądnione.

Oddaję im, co im się należy i chylę przed nimi czoło, a na dowód, że i oni mogą się czasami znaleźć w położeniu niezbyt przyjemnem i to dzięki swej klienteli, przytoczę narzekania właściciela pewnego pensjonatu, gdzie, to mniejsza, ale prowadzonego według wszelkich, prawdziwie europejskich wskazań i mogącego odpowiedzieć na dalej idącym wymaganiom.

Ludzie jednak przyzwyczaili się już szukać dziury na całym i trudno ich zadowolić, a choćby się to nawet komuś i udało, dla tamtego nie będzie jeszcze dość, postawi nowe, tym razem już zupełnie nie do spełnienia życzenie, a to tylko dlatego, aby mieć powód do narzekania.

Ponieważ w ubiegłym tygodniu potępiłem wyzyki, jakiego się na kuracystach i lekarzach dopuszczają właściciele hoteli, pensjonatów i t. d., dziś, w myśl zasady *audiat ut altera pars*, muszę kilka gorzkich, lecz prawdziwych słów poświęcić tym, którzy na świecie powietrzu szukają zdrowia i wychnienia, a innym życie zatruwają.

Jest to specjalna kategoria ludzi, a tworzą ją dorobkiwiczowie wojenni, wyznawcy złotego cielca i jego czelciele, wiedzący o tem, co dziś pieniądz znaczy. Przy jego pomocy starają się też zdobyć te pozycje, które niegdyś należały do inteligencji, bo ta, dzięki wojnie, zesłała najzupełniej na psy i tworzy dziś prawdziwy proletaryat.

Ta kasta dorobkiwiczów wojennych, przypominająca tak popularnych dawniej w niemieckiej hamorystyce *protzów*, reprezentowaną jest w naszych zdrojowiskach i nadrowiskach bardzo licznie, ale przeważnie tylko przez pięć pleką, gdyż rodzaj męski pozostał w miastach, aby tam dalej robić interesy i, co najwyżej od czasu do czasu zjeżdża do swych „lepszych połów“ pociągami sezonowymi, biorącymi od nich nazwisko „paskarskich“.

Pieniądze nie grają u nich żadnej roli, zapłaciliby podwójnie, a nawet i potrójnie, ale zato mają tyle wymagań i nienasądnionych grymasów, że musiałoby się być chyba aniołem, a nie człowiekiem, aby im zadość uczynić.

Przedewszystkiem więc radzi byłoby wybić się na pierwszy plan i zbierać od reszty otoczenia dowody czotobitności ze względów na swe złoto, ponieważ zaś prawdziwa inteligencja, o ile się tam znajduje, nie ma do tego ochoty, stąd też intrygi, komeraże, jednym słowem, każdy pensjonat zamienia się przez sezon w małe, ale prawdziwe piekielko.

Kto przed złotym cielcem nie bije czołem, ten jest wrogiem, człowiekiem bez kultury, nie zasługującym na to, by swymi nędznymi oczyma patrzeć na brylanty, jakimi taka pani jest codziennie obwieszona, niczem chodząca wystawa jubilerska.

Powtarzają się dawne nasze stosunki prowincyo-

nalne, kiedy to w towarzystwie żadna z pań nie byłaby usiadła bez uchybienia swej godności na zwykłym krześle, lub choćby nawet na fotelu, ale wszystkie pochyły się na kanapę i było im tam wygodnie, aczkolwiek gniotły się, niczem śledzie w beczce.

Mężczyźni są pod tym względem wyrozumialsii, nie chcą jednak tego zrozumieć, że współmieszkańcy pensjonatu patrzą krzywo na tak zwane „małżeństwa sezonowe“ skojarzone tylko na miesiąc lub dwa.

Taki pan, który zjechał tutaj „ze żoną“, choć swą prawowitą małżonkę zostawił, dajmy na to, w Warszawie, dziwi się, że inni towarzysze stołu wiedzący o tem, trzymają się odeń zdaleka i właścicielowi pensjonatu, choć w tym wypadku jest Bogu ducha winny, robią niezadowolone wymówki.

A takich „małżeństw sezonowych“ można tego roku obserwować podobno stosunkowo bardzo wiele.

Myślałby kto może, że ludzie, mający tyle pieniędzy, iż nie wiedzą, co z nimi zrobić, nie będą się też z nimi liczyć. Jeśli tak kto sądzi, jest w błędzie.

Prawda, że każdy ma prawo żądać, aby za swoje pieniądze dostał to, co mu się należy, oszczędność jednak granicząca niejednokrotnie ze skąpstwem, nie jest bynajmniej na miejscu. Kto sobie pozwolił na wyjazd w obecnych stosunkach do Krynicy lub Zakopanego, tego widocznie stać na to i powinien być przygotowanym na większe wydatki, niż w normalnych czasach.

A tymczasem nawet i między tymi wojennymi milionerami są osobniki, które każą w swym pokoju dla oszczędności wykręcić lampkę elektryczną, by nie potrzebowały dopłacać tygodniowo po kilka koron za światło.

Z jednej strony chciałoby się światu załmonować i wyrzucić się pieniędzmi całemi garściami, gdzie tego nie potrzeba, z drugiej handryczy się o każdego halera.

Goście z Kongresówki, przyzwyczajeni do zupełnie innych warunków aprowizacyjnych, niż te, jakie u nas panują, nie chcą zrozumieć, że co innego Warszawa, co innego zaś Krynica, lub Zakopane, dokąd naprzykład jarzyny, jeśli się je chce mieć, trzeba sprowadzić z Krakowa, nie można więc zbyt szczerze darzyć niemi pensjonarzy, zwłaszcza, że musi się je kupować na wagę złota.

W Warszawie jest biały cukier, my w Małopolsce jesteśmy zadowoleni, jeżeli mamy sacharynę lub choćby złotą melasę, po której użyć konie parszywieją... Kilogram mięsa kosztuje zaś obecnie w Krynicy dwadzieścia ośm koron (w tem trzecia część kości!). Urzędy aprowizacyjne dostarczają wprowadzić różnych artykułów spożywczych, ale takich, jakich żaden szanujący się wojenny letnik nawet nie wzięby do ust: pęczaki, fasoli, smalcu amerykańskiego i t. d. Resztę i to tę najważniejszą, trzeba kupować i to po cenach bajiński, nie zawsze więc uda się zadowolić zbyt wymagające podniebienia.

Ponieważ na dobitkę pogoda nie zawsze dopisuje, a młodzieży, zwłaszcza chętnej do uglecia karku w jarzmo małżeńskie, mało, ta znów, która jest, wie, jak się cenić w tych powojennych czasach, nie też w tem dziwnego, że musi to wpływać ujemnie na pęd nadobną i przyczynić do zdenerwowania, któremu daje się upust przy każdej sposobności.

Co razem wszystko zebrawszy, dojść się musi do konkluzji, że, jak czasem mają goście zupełną słuszność, jeśli narzekają, że stają się ofiarą wyzysku, tak znów z drugiej niejednokrotnie uzasadnione są utyskiwania właścicieli pensjonatów i hoteli, że ich najlepsze chęci nie spotykają się z takim uznaniem, na jakie zasługują.

Te obustronne narzekania utwierdzają mnie w przeświadczeniu, że dobrze zrobiłem, zostając w Krakowie przez wakacje, zwłaszcza, że powietrze skutkiem zmniejszenia się liczby ludności, odpowiednio się też i rozrzedziło, co zaś ważniejsze, śledząc na własnych śladach, pilnuje się bodaj swego mieszkania przed odwiedzinami nieproszonych gości, uważając, że czas wakacyjny za najodpowiedniejszy do przeprowadzania rozmaitego rodzaju rozwiązyli.

A trzeba przyznać że pod tym względem stanęliśmy na równi z zagranicą, chinląc się swymi Arszami Lipnami i innymi podobnymi amatorami cudzej własności, których dotąd znaliśmy jedynie tylko z powieści i kina. Dziś widzimy, że i u nas ich nie brak, a choć mają jedynie domowe wykształcenie, nie ustępują bynajmniej w niczem swym zagranicznym kolegom, a nawet ich poniekąd i przewyższają tak pomyślowością, jak i sumiennem wykonaniem swego rzemiosła.

Bezdaż, że, o ile mamy tych Lipinów, nie mamy znów Sherlocków Holmesów, aby im następowali na pięty, (mają widocznie coś lepszego do czynienia...), zresztą u nas nikomu zbyt nie się spieszy, w myśl zasady: „co nagle, to po dyable“, i, zanim Aida zdecydunje się przybyć celem urzędowego obwążowania miejsca zbrodni, sprawy tymczasem dawno już wy-

jechali gdzieś indziej na gościnne występy, a powrócą, gdy się o nich zapomni.

Spyta kto może, co w takim razie robi dziś policja, która dawniej nie miała czasu na tropienie złodziei, gdyż obowiązkiem jej było stać na straży naszej e. k. lojalności i pilnie baczyć na to, by ktoś w tym kierunku nie zgrzeszył. Na to pytanie nie mógłbym już wcale dać odpowiedzi. Kronika policyjna jest codziennie bardzo obfita. Czytamy tam o kradzieżach, napadach, włamaniach i t. d. sprawozdanie kończy się zaś prawie z zasady lakoniczną wzmianką: „Sprawców nie ujęto...“ (gdyż nie byli łaskawi poczezać, aż się zjawia organa bezpieczeństwa, sami zaś nie głupi się zgłaszają, choć się ich o to grzecznie proszą.)

U nas w Krakowie, jest jeszcze stosunkowo lepiej, niż w Król stwie. Nasi panowie złodzieje są dość wyrozumiali na ogólną błądę i raczej wolą występować gdzieś indziej gościnie. Na naszym bruku operują natomiast przeważnie obcy przybysze, głównie z Kongresówki, gdzie wszelkiego rodzaju bandytyzm kwitnie w najlepsze, nie spotykając się bynajmniej z represjami ze strony powołanych czynników. Ale też nikt tam nie jest pewnym ani życia, ani mienia, a te stosunki zaczynają się przeszczeplić i na nasz grunt, co bynajmniej nie jest pożądanem.

Rząd warszawski, w którym zasiadają tak genialne i rozumne głowy (o ile głowa służy do siedzenia... przyp. zecera), nosi się podobno z myślą zreformowania służby bezpieczeństwa w całym kraju, co ma podobno nastąpić już w najbliższym czasie, ale daje zupełnie uzasadniony powód do obaw, że będzie to znów jakiś dziwoląg, podobny do owych, które stamtąd wzięły początek. Na tej reorganizacji najgorzej wyjdzie Małopolska i dawny zabór pruski, gdzie dotąd panował bodaj jaki taki porządek, choć Warszawa zarzuca nam stale zbyt wiele biurokratyzmu, brak szerszych horyzontów i... domowego wykształcenia, tak dziś w modzie będącego co podobno na każdym kroku daje się odczuwać, jak się o tem dowiedziałem z ust pewnego byłego austriackiego urzędnika, zajętego obecnie w Warszawie, który w rozmowie wyraził się w ten sposób:

— El... Co tam wy, Głicianie!... Wy jesteście ciągle zaplątani w biurokratami, a nam trzeba ludzi czynu, mających samodzielność!

Jak zaś ta samodzielność wygląda, przekonujemy się prawie codziennie, choć jeszcze dotąd nie tworzymy właściwie z Kongresówką jednej organicznej całości. Mamy swój rząd, kierujący się, co prawda, dawnymi austriackimi zasadami, ale, jeśli się chce być sprawiedliwym, musi się przyznać, że dają one więcej gwarancji dla ogółu niż te, jakimi się kierują owi luźnie samodzielni, bardzo często nie mający nawet pojęcia o tem, co leży w zakresie ich władzy. I nie też dziwnego, że znajdują bardzo szerokie pole do rozwinęcia swej samodzielności, a ogół wychodzi na tem jak najgorzej.

Stoimy w przededniu utworzenia nowego gabinetu, który, o ile się nie uda zlepić stałej większości, a ta powołalaby do rządów swych mężów zaufania, więc może znów ludzi o domowym wykształceniu, ale zdeklarowanej przynależności partyjnej, miałoby się składać z „facho wów“.

I to byłoby dla nas zbawieniem, bo, jak błogosławiona działalność rozwijają niefachowcy, mieliśmy już sposobność przekonać się i na własnej skórze i na własnej kieszeni. Można być bardzo gorliwym i wlernym członkiem jakiegoś politycznego stronnictwa, można dla niego położyć nawet bardzo rzetelne zasługi, ale to nie daje jeszcze kwalifikacji na ministra, nawet na jego delegata...

I, jak się zdaje, dawne wyrażenie „ministrjalna głowa“, już w najbliższym czasie będzie mieć to samo znaczenie, co przedtem „głowa do poloty“.

Bo oto czytamy najwyraźniej czarne na białem, że nasz pan minister kultury i sztuki zabronił pewnemu obywatelowi w Królestwie obsadzenia dróg drzewkami owocowymi „ze względów estetycznych“, ponieważ w Polsce do tego celu nadają się jedynie... wierzby.

Na wierzbie wprawdzie nie rośnie gruszkę, ale pręty wierzbowe cieszyły się dawniej uznaniem w pedagogii. Przy ich pomocy napędzano rozum młodym, dziś zdaloby się to i starszym...

„Ministryjalne głowy“ są dziś widocznie wszędzie jednakże, bo oto w Budapeszcie postanowiono znieść zawód golibrodów, jako zupełnie niepotrzebny, a służący jedynie wygodzie bogatych prożniaków. Projektodawca chce widocznie aby ludzkość powróciła do pierwotnych obyczajów i rozżarzonym węglem opalała sobie włosy, jak to ongi czynił tyran Dionizyusz.

Czy jednak będzie węgli na tyle?

Zwykła głowa, choćby nawet myślała i rok cały, czegoś podobnie genialnego nie wymyśli, a Warszawa i Budapeszt mogą sobie w tym wypadku podać zupełnie spokojnie rękę...